



Materiał przygotowany dla Onet.pl

Autor: Piotr Halicki

ZBIGNIEW GALPERYN: MY PO PROSTU POSZLIŚMY SIĘ BIĆ ZA OJCZYZNĘ

- Kiedy niemieccy żołnierze wycofywali się przez warszawskie mosty, wiedzieliśmy już, że przegrywają i lada chwila wybuchnie powstanie. Chcieliśmy walczyć. Wszyscy mieli dość okupacji – wspomina Zbigniew Galperyn, ps. "Antek", wiceprezes Zarządu Głównego Związku Powstańców Warszawskich. W rozmowie z nami opowiada o przygotowaniach do zrywu, ulicznych walkach, gorącej krwi powstańców i wrywaniu się z rąk śmierci.



Zbigniew Galperyn, wiceprezes Związku Powstańców Warszawskich

- Zbigniew Galperyn w chwili wybuchu powstania warszawskiego miał 15 lat. Mimo to nie wahał się ani chwili, czy wziąć w nim udział.
- - Nad tym, czy powstanie ma sens, nikt się wtedy nie zastanawiał. Uważaliśmy walkę za tak oczywistą, że nie było o czym rozmawiać – tłumaczy.

- **"Antek" brał udział m.in. w walkach na barykadach na Woli, obronie Arsenалу, został ranny w nogi i istniała obawa, że nie będzie mógł chodzić. Dziś deklaruje, że jeżeli byłoby trzeba, teraz postąpiłby tak samo.**

Piotr Halicki: Gołym okiem widać, jak w ostatnich latach Warszawa się rozwija i pięknieje. Czy dziś, idąc ulicą i widząc to wszystko, ma pan poczucie, że pan również się do tego przyczynił, oddając temu miastu część siebie i ryzykując życie?

Zbigniew Galperyn: Niektórzy zaraz powiedzą, że to powstańcy przyczynili się do zniszczenia Warszawy. Ale nie jest to prawdą. To, co zostało zniszczone czasie walk, to niewielki procent tego, co zostało zrujnowane po powstaniu przez Niemców. Były przecież ich specjalne ekipy, które dom po domu, po ograbieniu ich, podpalali je i niszczyli. Ale rzeczywiście, dziś idąc po Warszawie, odczuwam wielką radość. Zwłaszcza że sam jestem z zawodu urbanistą i projektantem planów różnych miast w dawnym województwie warszawskim. W latach 1953-65 pracowałem bowiem w wojewódzkiej pracowni urbanistycznej. Brałem udział m.in. w projektowaniu placu Żelaznej Bramy czy części dzisiejszego Ursynowa.

- **Czyli nie tylko przelewał pan krew za Warszawę, ale też służył jej później swoimi umiejętnościami.**

No tak, staraliśmy się po wojnie to wszystko odbudować, kiedy już plany były gotowe. Co ciekawe, ta odbudowa była projektowana dużo wcześniej, niż się właściwie zaczęła. Pracowali już nad tym koledzy, którzy przebywali w obozie jenieckim, a później w Anglii. Kocham to miasto, w którym urodził się mój ojciec, potem ja i moje dzieci. Jestem jak najbardziej związany z Warszawą, dlatego też w pewnym sensie mogłem poświęcić jej swoje życie, stając w jej obronie.

"Czuło się atmosferę, że musi wybuchnąć powstanie"

- **Kiedy wybuchło powstanie, miał pan 15 lat. Jak to się stało, że wziął pan w nim udział? Jak to się zaczęło?**

Wcześniej byłem w Szarych Szeregach, od 1942 roku. Było wiadomo, że wcześniej czy później wybuchnie powstanie. W 44' przeszedłem szkolenie w Armii Krajowej, już jako jej żołnierz. Przygotowywano nas do walki. Mimo że mieszkałem w Śródmieściu, nasza koncentracja była na Woli - 25 lipca, na kilka dni przed wybuchem. Około 30 chłopaków, którzy się właściwie nie znali, spotkało się w kościele. Była msza, a po niej dowódcy kazali nam rozejść się i powiedzieli nam "bądźcie w pogotowiu". A my byliśmy tak naprawdę źli, że ujawniono nasze twarze. Bo myśmy wcześniej w konspiracji spotykali się w grupach pięcioosobowych, a na strzelaniu było maksymalnie z dziesięć osób, plus ewentualnie łączniczka i sanitariuszka.

- **Dlaczego byliście źli? Baliście się, że ktoś może was zdekonspirować?**

Dokładnie. Baliśmy się, że ktoś nas sygnie. Pamiętaliśmy słynną sprawę z placu Trzech Krzyży. Para z konspiracji brała ślub w znajdujących się tam kościele i zostało zaproszonych mnóstwo ich kolegów. Ktoś sygnął, kościół obstawili Niemcy i aresztowali wszystkich. Baliśmy się, żeby teraz znowu tak nie było.

- **Czyli tego 25 lipca dowiedzieliście się, że będzie powstanie, tak?**

Tak. Tylko nie wiedzieliśmy, kiedy. Niemcy w pierwszym okresie wycofywania się z linii frontu ze Wschodu przewalali się przez Warszawę, likwidowali urzędy, uciekali na Zachód. Czuło się taką atmosferę, że musi wybuchnąć powstanie.

- **Pan i koledzy byliście wtedy bardzo młodzi. Czy byliście przekonani do tego, by ruszyć w bój na śmierć i życie? Nie mieliście żadnych wątpliwości, czy to ma sens? Czy warto? Nie było strachu?**

Nie, takich rozważań nie mieliśmy. Wszyscy byli bardzo zdeterminowani tą całą sytuacją. Nie mieliśmy wątpliwości, że pójdziemy walczyć. A jeszcze dodatkowo kroplą, która przelała czarę goryczy, było rozporządzenie Niemców, według którego 100 tysięcy ludzi w wieku od 16 do 60 lat ma się zgłosić na kopanie rowów, bo Warszawa miała być miastem, które hitlerowcy zamierzali bronić. Część Niemców wróciła do Warszawy, ściągnięto też dywizję z Włoch. Przed samym powstaniem była inna sytuacja niż tydzień czy dwa tygodnie wcześniej, kiedy żołnierze niemieckiej armii wycofywali się przez mosty – nieogoleni, brudni, w rozpiętych mundurach, pędzący bydło.

Mieli dość pięciu lat okupacji

- **Czy wam to jakoś dodawało skrzydeł, że widzieliście tych wycofujących się Niemców?**

Tak, wszyscy wiedzieliśmy, że Niemcy przegrywają. Wiedzieliśmy, że lada chwila wybuchnie powstanie. I chcieliśmy walczyć. Nie baliśmy się jakoś specjalnie. Wszyscy, także moi rodzice i brat, byli nastawieni na walkę. Zwłaszcza, że stałe były aresztowania, łapanie. Wszyscy mieli dość tych pięciu lat okupacji. Byliśmy bardzo zdeterminowani.

- **Jak się pan dowiedział, na kiedy wyznaczono termin wybuchu powstania?**

Czekaliśmy kilka dni w pogotowiu. W końcu, dzień przed 1 sierpnia, łączniczka przyniosła rozkaz, że wyznaczono "godzinę W". My mieliśmy zgłosić się 1 sierpnia, o godz. 15, na Woli, już w prywatnym domu, gdzie dostaliśmy białe-czerwone opaski i broń.

- **Co się zdarzyło w "godzinę W"? Jak to wyglądało w pana przypadku?**

Mieliśmy trochę żal, że my, świeżo przeszkoleni w strzelaniu i taktyce, nie bierzemy tak naprawdę czynnego udziału w samym wybuchu powstania. W domu, w którym się spotkaliśmy, kazano nam czekać na dalsze rozkazy. Więc zamknęliśmy bramę, ale wystawiliśmy czujki. Obserwowaliśmy, co się dzieje na ulicy, czekając na rozwój wypadków i dalsze rozkazy. Słyszeliśmy pojedyncze strzały, a czasem całe serie, więc już było wiadomo, że powstanie wybuchło. Wkrótce potem wyszliśmy około 10-osobową grupą na miasto i zaczęliśmy patrolować okoliczne ulice. Widzieliśmy, jak pojedynczy Niemcy skrywają się w domach, jak wyludniają się ulice. Natomiast w niektórych domach słychać było już entuzjazm, wywieszano flagi. Cywilna ludność była zachwycona, kiedy szliśmy w zwartym szyku, częstowali nas papierosami. Radość udzielała się wszystkim.

Przejmujący widok zabitego Niemca

- **Ale ci Niemcy, którzy, jak pan mówi, chowali się w domach, strzelali już do was?**

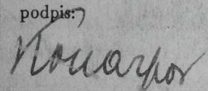
Tak, a myśmy odpowiadali ogniem. Pamiętam taką sytuację z tego dnia, która zrobiła na mnie duże wrażenie. Spotkaliśmy innego powstańca, który ciągnął za nogę zabitego Niemca, zwykłego szeregowca, a jego głowa podskakiwała na bruku. Patrzyliśmy na pierwszego Niemca zabitego w czasie naszego zrywu. Powstaniec miał na głowie zabrany mu hełm i dwa karabiny na ramieniu. Nagle jeden z chłopaków od nas podskoczył do Niemca i zaczął kopać go w głowę. Byliśmy zdziwieni, zastanawialiśmy się, po co on to robi, przecież on nie żył. A on krzyczał: "strzelałeś do mnie, jak nie mogłem przejść ulicą!". To był taki pierwszy, przejmujący obraz z pierwszego dnia.

- **Co jeszcze się działo tego pierwszego dnia?**

Ciągle patrolowaliśmy okoliczne ulice, a kiedy zbliżał się wieczór i godzina policyjna, wróciliśmy na miejsce, w którym było nasze zgrupowanie. Byliśmy głodni, więc dostaliśmy polecenie pójścia do najbliższej piekarni i przyniesienia chleba. Piekarz naładował nam cały kosz. Na kolację mieliśmy więc suchy chleb, powidła i herbatę. Potem co dwie godziny zmienialiśmy się w bramie. Jak staliśmy na czatach, słychać było gdzieś dalej strzały, przejeżdżający samochód, ale w naszej okolicy niewiele się działo. Zwłaszcza że zaczął się deszcz. Następnego dnia z samego rana, w związku z tym, że nie mogliśmy się z nikim skontaktować, bo przecież nie było wtedy telefonów komórkowych, ruszyliśmy zwartą grupą do pobliskiej szkoły. Tam na sali gimnastycznej przyjmowali ochotników, którzy nie są z AK, ale nasz dowódca zgłosił, że jesteśmy przeszkoleni. Dopiero wtedy się dowiedzieliśmy, jaka jest w ogóle nazwa naszego batalionu.

- **Jak do tego doszło?**

Czekaliśmy na rozkazy i nagle wpada na salę gimnastyczną młody chłopak i mówi, że zdobył dwa czołgi i że potrzebny mechanik do ich uruchomienia. Cisza na sali, no to nasz dowódca mówi - nikt się nie zgłasza, ja muszę iść, a wy, wy idźcie do browaru Haberbuscha i Schiele, po czym zgłóście się do dowódcy o pseudonimie "Sosna", powiedzcie, że jesteście z batalionu "Chrobry" i zameldujcie, że jesteście zwartą przeszkoloną grupą. I zgłosił się do uruchomienia tych czołgów. Powiedział, że wróci. Ale już nigdy nie wrócił. Wiem, że walczył jeszcze w powstaniu, ale potem zginął, bo już po wojnie byłem na mszy za jego pamięć.

Dowództwo Armji Krajowej	
Oddział:	
Nazwisko:	Galperyn "Antek"
Imiona:	Zbigniew
Stopień:	strzel.
Data urodz.:	18.5.1928.
Przydział:	plut. Murzyna
Data wyst. leg.:	29.8.1944.
m. p.	podpis: 
Numer leg.:	Odcisk wskazującego palca prawej ręki:
130.	

Legitymacja powstańcza Zbigniewa Galperyna

- **A wasza grupa dotarła do browaru Haberbuscha i Schiele?**

Tak, wyszliśmy ze szkoły i zameldowaliśmy się u kapitana "Sosny". Mieliśmy być odpowiedzialni za patrolowanie terenu od Żelaznej do Młynarskiej i od Leszna aż do Jeruzolimskich. Naszą rolą było wyszukiwanie i eliminowanie Niemców oraz ludzi z nimi współpracujących, a jednym z ważniejszych zadań na tym terenie dla naszego batalionu było zdobycie posterunku żandarmerii niemieckiej, tzw. Nordwache, na Żelaznej. Budynek był w całości zajęty przez wojsko wroga, do pierwszego piętra były siatki, by nie można było wrzucić granatów, a przy wejściu znajdował się bunkier, z którego okienek można było skutecznie odpierać ataki. Od frontu nie udało się go zdobyć. Koledzy, którzy próbowali, musieli się wycofać. Wtedy kapitan "Sosna" sam zorganizował i poprowadził akcję. Podjął decyzję, że trzeba zająć sąsiedni budynek i potem zdobywać posterunek piętro po piętrze.

- **Powiódł się ten plan?**

Tak, ale okazało się, że nie przydzielono nas do tego ataku, zaplanowanego na rano, 3 sierpnia. Wzięto starszych kolegów, lepiej uzbrojonych.

- **A pan jak był wtedy uzbrojony?**

Miałem karabin i granaty. Podobnie jak inni z mego oddziału. Akcja generalnie się powiodła. Rzeczywiście był atak z sąsiedniego budynku, poza tym wysadzono część komisariatu i ostatecznie Niemcy się przestraszyli i poddali. Opanowaliśmy więc najważniejszy w naszym rejonie budynek.

Walki na barykadach i wypadki w teren

- **W jakich akcjach pan brał udział?**

Ja uczestniczyłem w walkach na barykadach i w wypadkach w teren. Jeżeli chodzi o te wypadki, najpierw tworzyła się grupa ochotników, przed wyjściem ksiądz błogosławił nam i dawał rozgrzeszenie, bo nie wiadomo było, kto nie wróci. Penetrowaliśmy okoliczne ulice i mieliśmy "oczyścić" je z Niemców. Zresztą, ludzie nam sami wskazywali, z którego miejsca strzelał jakiś Niemiec, więc my go otaczaliśmy i eliminowaliśmy.

- **A jak wyglądały akcje na barykadach?**

W tym samym czasie inne oddziały budowały barykady na ulicach. W piwnicach wzdłuż ulic były poprzekane ściany i można było przechodzić nimi bliżej miejsc, gdzie atakowali Niemcy i toczyły się zaciekle walki. W tych piwnicach było mnóstwo cywili, którzy skryli się tam z małymi dziećmi i siedzieli przy świeczkach i lampach karbidowych lub naftowych. Z tych podziemi wchodziliśmy na pierwsze piętra budynków i strzelaliśmy do czołgów, rzucaliśmy granaty lub butelki z benzyną. Byłem wtedy młodym, wysportowanym chłopakiem, często grywałem w piłkę, więc mogłem rzucić taką butelką naprawdę daleko. Ale nafta się na czołgu rozlewała, wypalała się i tyle. Nawet jego załoga rzadko wychodziła w takich sytuacjach z wieżyczki, a na to zawsze liczyliśmy i byliśmy gotowi do strzałów. Jednak w wielu przypadkach nie wyrządziliśmy czołgom i ich załodze żadnej krzywdy.

- **Cały czas walczyliście na Woli?**

Nie, z 7 na 8 sierpnia przerzucono nas na Stare Miasto. Część z nas ulokowano w Arsenale i żelbetonowym Pasażu Simonsa, gdzie udało nam się wreszcie trochę odpocząć, bo tutaj był spokój, cisza i szyby w oknach. Dowiedzieliśmy się nawet, że 6 sierpnia była defilada naszych żołnierzy na ul. Długiej. Zastanawialiśmy się, jak to możliwe, skoro my cały czas byliśmy pod ostrzałem. I potem stąd znowu ruszaliśmy na różne akcje. Od 12 sierpnia zaczęły się bombardowania, a od 21 sierpnia potężne walki o Arsenał, który już płonął. Ja byłem w nim do końca, aż zajęli go Niemcy.

- **Jak to się stało?**

21 sierpnia Goliatem zburzyli część budynku, a potem od ulicy Długiej Niemcy dostali się do środka. Myśmy nadal się bronili. Niemcy byli po jednej stronie podwórka, my po drugiej i strzelaliśmy do siebie, z odległości tak z 20-30 metrów. Oni byli jednak świetnie uzbrojeni, mieli mnóstwo amunicji, a myśmy mieli parę KM-ów i jeden RKM, więc ta wymiana była nierówna. Zwłaszcza że budynek płonął.

- **Jak wybrnęliście z tej sytuacji?**

Musieliśmy wydostać się z budynku i biec do Pasażu Simonsa. Nasz dowódca sam doskoczył do RKM-u, położył na nich ogień, a my się wycofaliśmy. 24 sierpnia wciąż przebywaliśmy w Pasażu Simonsa. Zaczęli do nas strzelać z czołgów, a potem zaatakowali z góry. Zabili tych naszych, którzy byli w bramie, wrzucając granaty. My byliśmy pod murami, ale tam Niemcy bali się wejść, więc strzelali z pistoletów maszynowych i znowu wrzucali granaty.

Strzały, wybuchy granatów, hałas i chaos

- **To podczas tej akcji został pan ranny, prawda? Jak do tego doszło?**

Tak, zgadza się. Padł rozkaz, żeby wycofać się z tego pomieszczenia, w którym przebywaliśmy, do innych piwnic. Trzeba było przejść pod ścianą, ale też kawałek przebiec. Tam wciąż były strzały, wybuchy granatów, ogólny hałas i chaos. Pamiętam, że przede mną szedł sierżant. W pewnym momencie dostał, upadł, z głowy spadł mu hełm, potoczył się, a ja idąc za nim, potknąłem się o ten hełm i się przewróciłem. Nagle zrobiło mi się gorąco w nogach i mogłem podnieść się tylko na łokcie. Nie mogłem się już ruszyć. Widząc to moi koledzy, wrócili po mnie, złapali mnie pod ręce i te parę metrów do innej piwnicy przeciągnęli. Okazało się, że dostałem w oba uda.

- **To były rany od pistoletu maszynowego czy odłamki granatów?**

Wtedy nie wiedziałem, zrobiło mi się tylko gorąco. Od razu trafiłem pod opiekę medyczną. Rozcięto mi nogawkę, zobaczyłem wielkie rany nad kolanem i zdałem sobie sprawę, że czeka mnie tu na miejscu operacja bez żadnego znieczulenia.

- **Kto ją wykonał? Mieliście tam na miejscu lekarza?**

To był student po czwartym roku medycyny, ale wszyscy już nazywali go "panem doktorem". Zresztą, spotkałem go po wojnie, okazało się, że po wyjściu z obozu jenieckiego wyemigrował do Kanady, gdzie rzeczywiście był lekarzem. Przypomniałem mu o tym, że wyjmował mi wtedy odłamki z rany przy świetle lampy naftowej. Kiedy rozciął mi lewą nogawkę, nad kolanem zobaczyłem wielką dziurę. Odcinał mi kawałki skóry, lał Rivanol i bandażował. Na prawej nodze widać było wlot kuli, ale nie było wylotu. "Pan doktor" stwierdził więc "trzeba wyjąć odłamek, bo inaczej będzie źle". Rozciął mi skórę skalpelem, wcisnął nożyczki i wyjął go. Potem zabandażował i zaordynował, żeby teraz zabrać mnie do szpitala, bo trzeba sprawdzić, czy kość nie została naruszona.

Tak rozstałem się z Pasażem Simonsa, bo koledzy wzięli mnie na nosze i rowem przenieśli mnie do szkoły przy ul. Barokowej, gdzie urządzono szpital. Rów był płytki, widać było, że jest jakiś ruch, więc Niemcy zaczęli do nas strzelać gdzieś ze strony getta. Czasami człowieka w takich momentach nachodzą dziwne myśli – gdy widziałem, jak ziemia się podrywa się od strzałów, pomyślałem, że musi kierować ogień na nas jakiś niedoświadczony Niemiec, bo próbuje dopaść nas serią z tyłu, a przecież powinno się z przodu. Wtedy cel sam nadejdzie. Niemiec jakby usłyszał, przestał na chwilę i zaczął strzelać od przodu, ale było już za późno i zdołaliśmy uciec.



Zbigniew Galperyn wiceprezes Związku Powstańców Warszawskich

Rozumiem, że był pan świeżo po szkoleniach, stąd takie myśli?

Sądzę, że tak. Uciekliśmy śmierci przez brak doświadczenia tego Niemca. W szkole powiedzieli nam, że szpital jest przepełniony, nie ma miejsc i kazali nam iść do kościoła św. Jacka przy ul. Freta. Tak też zrobiliśmy. A tam leżało aż 400 rannych. Pozostawiono mnie na noc przed schodami ołtarza. Leżałem na wznak, a trzy stopnie wyżej znajdował się inny ranny, całkiem zabandażowany i jęczał. Cały czas miałem wrażenie, że on za chwilę na mnie spadnie. Zacząłem też odczuwać ból.

Dowiedziałem się, że w międzyczasie zbombardowano budynek przy ul. Freta, w którym przebywało dowództwo. Kościół był oznaczony czerwonym krzyżem, ale nic to nie dało – też został zbombardowany. Zanim to się jednak stało, rano odwiedzili mnie koledzy, którzy przynieśli mi coś do jedzenia i butelkę czerwonego wina – kazali mi je pić, bo straciłem dużo krwi, miało przyspieszyć regenerację. Poprosiłem, by przenieśli mnie do zakrystii, gdzie echo nie będzie tak niosło tych wszystkich jęków rannych. Przeciągnęli więc mnie na materacu. To mnie uratowało. Wkrótce potem do kościoła wpadła bomba z opóźnionym zapłonem – przebiła dach i wybuchła po uderzeniu w posadzkę. Wszyscy, którzy tam byli, zginęli.

- **Czyli znowu uciekł pan śmierci...**

Zgadza się. Kiedy tam leżałem, przyszła AK-owska żandarmeria i zaczęła robić listy, kogo ewakuować. Wszyscy, którzy mieli cokolwiek wojskowego, musieli oddać. Ja miałem bluzę. Zabierali też pasy niemieckie, broń krótką. Wybuchła awantura, bo jeden z rannych mówił, że ma pistolet, ale nie odda, bo wie, co będzie, jak wejdą Niemcy – stwierdził, że na Woli rozstrzelawali, więc tu też będą, a on woli sam się zabić. Siłą mu więc zabrali.

Podpalili kościół z rannymi

- **Po co to zabierali? To miało trafić do innych walczących powstańców?**

Nie, chodzi o to, że to miał być formalnie szpital cywilny, dlatego nie mogło być żadnej wojskowej rzeczy. I zostali tylko ranni, którzy nie mogą się ruszać. Pozostałych wzięli ze sobą. Wkrótce potem weszli Niemcy. Lekarz poinformował oficera, że to szpital cywilny, że wszystkich wojskowych zabrali, ale hitlerowcy nie chcieli uwierzyć. Jeden z nich, rozmawiający po rosyjsku, wskazał na jednego z rannych i stwierdził, że do niego strzelał. Potem wyprowadzili lekarzy i pielęgniarki na zewnątrz. Rozstrzelali wszystkich na podwórku. Nas zostawili. Chwilę później do kościoła weszli inni Niemcy, z kanistrami i rozleli benzynę, po czym podpalili kościół.

- **Chcieli was spalić żywcem?**

Tak to wyglądało. Ale okazało się, że został z nami brat jednego z rannych, który mógł się normalnie ruszać i jedna sanitariuszka. Gęsty, gryzący dym wdzierał się już do zakrystii, a ta dwójka moczyła szmaty w wodzie i kładła ludziom na twarz, żeby lepiej im się oddychało. I zaczęli część rannych wyciągać na ulicę. W pewnym momencie sanitariuszka podeszła do mnie, spojrzała i stwierdziła "ty jesteś za młody, żeby umierać". I razem z postaniem wyciągnęła mnie w stronę ulicy Starej, potem po schodkach i ułożyła przy krawężniku między chodnikiem a jezdnią.

- **Ile osób tak wyciągnęli?**

Okolo 40 osób. Tylu zdążyli. Pozostali zginęli po tym, jak w wyniku pożaru zawalił się dach w zakrystii. Zaczął padać deszcz, który tłumiał ogień, ale mimo to nawet na zewnątrz gorąco było od tego żaru, ale nie mogłem się ruszyć, nie miałem czucia w nogach.

- **Jak długo pan tam leżał?**

Tak leżeliśmy cztery noce. Koszmar. Znalazł się tam co prawda Niemiec, z pochodzenia ze Śląska, mówiący po polsku, który za obrączki, pierścionki i inne przedmioty przynosił np. ćwiartkę chleba. Kto nie miał nic, ten nie dostawał. Jęki rannych były coraz cichsze, coraz rzadsze, ludzie umierali na ulicy. Po czterech dniach znalazła nas grupa kleryków od karmelitów. Szukali nas, bo dowiedzieli się, że gdzieś na Starym Mieście leżą na ulicy ranni. Przyszli z noszami, z chorągiewką czerwonego krzyża, a wraz z nimi siostra w białym fartuchu i jakiś podoficer niemiecki w mundurze. Wzięli mnie na nosze i zatrzymali się u zbiegu ul. Podwała i Kilińskiego, przy jedynym domu, który nie był zamieniony w gruzy. Jeden z kleryków wszedł do drzwi, nad którymi widniał napis "krawiec" i wyniósł dla mnie spodnie, bo ja wciąż byłem w samych gatkach. Stwierdził, że przydadzą mi się, kiedy będę znów chodził. Wtedy uświadomiłem sobie, że może jest jeszcze na to szansa.

- **Wcześniej stracił pan już taką nadzieję?**

Czułem w udach tylko ból i nic więcej, więc nie dawałem sobie zbyt wielu szans. Potem ci klerycy nieśli mnie dalej, na Krakowskie Przedmieście, w stronę Nowego Świata. Tymczasem z lewej strony, w stronę Mariensztatu i mostu Kierbedzia, szedł tłum cywilów, z walizkami w rękach i tobołkami na ramionach. Oczywiście Niemcy prowadzili ich pod lufami karabinów.

Leżąc na noszach, zauważyłem taką scenę – idzie matka z walizką, za rękę trzyma około 5-letnią dziewczynkę, która niesie... klatkę z kanarkiem. Mała uratowała tego kanarka, bo był dla niej cenniejszy niż ubrania czy coś do jedzenia. Wtedy sobie przypomniałem, że po bombardowaniu w 1939 roku poszedłem w naszym mieszkaniu na górę, gdzie mieliśmy duże akwarium i zobaczyłem, że wszystkie złote rybki od wstrząsów pozdychały i pływały do góry brzuchem. Była to dla mnie wielka tragedia. Wtedy obiecałem sobie, że nigdy nie będę trzymał zwierząt w domu, bo człowiek zawsze może uciec, a im grozi śmierć.

Karteczki z napisami "żyję, jestem tu i tu"

- **I co, ostatecznie trafił pan do jakiegoś szpitala?**

Zaniesiono mnie do szpitala w tym seminarium, a tam czyste łóżka, biała pościel – od początku powstania nie odpoczywałem w takich warunkach. Lekarz oczyścił moje zaniedbane już rany i bardzo mi ulżyło. Odczuwałem mniejszy ból, ale nadal nie mogłem ruszać nawet stopą. Drugiego czy trzeciego dnia przyszedł młody facet, widać, że AK-owiec i mówi "koledzy, zorganizowaliśmy pod Warszawą szpital z prawdziwego zdarzenia, jest wyżywienie, elektryczność, aparatura, lekarze; zgódźcie się, żeby was wywieźć pod Warszawę".

- **Zgodził się pan?**

Powstanie w tym czasie jeszcze trwało, ale pomyślałem, że i tak jestem unieruchomiony i w rękach Niemców, więc i tak się tu nie przydam. Zgodziłem się i trafiłem do Milanówka, do szpitala PCK. Przebywałem tam kilka miesięcy. Wspaniałe było społeczeństwo z Milanówka – kobiety przynosiły nam jedzenie, nawet piekły ciasta. Moje rany zaczęły się goić, a ja zacząłem chodzić o kulach. Potem trafiłem do szpitala w Krakowie, ale uciekłem stamtąd, bo tych, co zdrowieli, Niemcy zabierali do Rzeszy na roboty. Wróciłem więc znowu do Milanówka i tam właściwie doczekałem wkroczenia Rosjan, a moje rany już się zagoiły.

Potem ludzie zaczęli wracać do Warszawy, to ja też. Z Dworca Zachodniego poszedłem na ulicę Chmielną, róg Brackiej, do Domu Jabłkowskich, gdzie mieszkaliśmy. Gdy szedłem, wszędzie na bramach widziałem tysiące karteczek z napisami "żyję, jestem tu i tu". Gdy doszedłem do swego domu, dowiedziałem się od sąsiada, że moi rodzice wywiezieni do Niemiec, a brat z żołnierzami Armii Krajowej w niewoli. Ale że na pewno wrócą. Byłem sam, ale cieszyłem się, że udało mi się przeżyć. Zacząłem pracować jako rzemieślnik w pobliskim Skolimowie. Robiłem cholewki. Tam też mieszkałem. Ale co miesiąc pożycząłem rower i jechałem do Warszawy, żeby sprawdzić, czy ktoś z mojej rodziny już wrócił. I pod koniec 1945 roku pojawili się tam rodzice, a potem też brat. W 1947 roku wróciłem do Warszawy, zrobiłem maturę, a potem skończyłem jeszcze prawo i studium planowania przestrzennego na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej oraz wydział gospodarki komunalnej. Potem wykorzystywałem te umiejętności w służbie dla państwa.

- **Dużą część swego życia poświęcił pan Warszawie. Czy gdyby mógł pan się cofnąć w czasie, postąpiłby pan tak samo?**

Myślę, że tak. Na pewno poszedłbym walczyć, choć było ciężko. Nad tym, czy powstanie ma sens, nikt się wtedy nie zastanawiał. Uważaliśmy walkę za tak oczywistą, że nie było o czym rozmawiać.

- **Jednak później, a także obecnie, niektórzy historycy krytykowali decyzję dowództwa o rozpoczęciu powstania. Argumentując, że zginęło wielu wspaniałych ludzi, kwiat polskiego społeczeństwa. Jak pan to dziś ocenia, z perspektywy czasu?**

Proszę mi wierzyć, była taka atmosfera wtedy w Warszawie, że powstanie i tak by wybuchło. Nawet gdyby nie było skoordynowane. Wszyscy garnęli się do walki po tylu latach niewoli. Nie dałoby się już okiełznać tego żywiołu. Zresztą, myśmy wtedy nie oceniali tego w ten sposób. My po prostu poszliśmy się bić za ojczyznę. I jeżeli byłoby trzeba, znowu bym to zrobił bez wahania.